

Rozdział pierwszy

środa, 15 kwietnia 2009

Żydzi uroczysto świętują siódmy dzień święta Pesach i wspominają przejście przez Morze Czerwone, dla chrześcijan to czwarty dzień Oktawy Wielkanocnej. Dla Polaków – drugi dzień trzydniowej żałoby narodowej ogłoszonej po pożarze w Kamieniu Pomorskim. W świecie wielkiej piłki Chelsea i Manchester United awansują do półfinału Ligi Mistrzów, w świecie polskiej piłki kilku kibiców ŁKS zostaje oskarżonych o nawoływanie do nienawiści na tle różnic narodowościowych poprzez noszenie koszulek z napisem „Śmierć żydewskiej kurwie”. Komenda Główna Policji ogłasza raport o przestępczości w marcu – w porównaniu do marca 2008 wzrosła o 11 procent. Policja komentuje: „Kryzys będzie zmuszał ludzi do popełniania przestępstw”. W Sandomierzu już zmusił ekspedientkę z mięsnego do sprzedawania spod lady papierosów bez akcyzy, kobieta została zatrzymana. W mieście zimno jak w całej Polsce, temperatura nie przekracza 14 stopni, ale to i tak pierwszy słoneczny dzień po lodowatej Wielkanocy.

Duchy na pewno nie przychodzą o północy. O północy trwają jeszcze wieczorne filmy w telewizji, nastolatkwie myślą intensywnie o swoich nauczycielkach, kochankowie zbierają siły przed następnym razem, stare małżeństwa odbywają poważne rozmowy o tym, co się dzieje z naszymi pieniędzmi, dobre żony wyciągają ciasto z piekarnika, a źli mężowie budzą dzieci, próbując po pijaku otworzyć drzwi do mieszkania. Zbyt wiele jest o północy życia, aby duchy zmarłych mogły zrobić należyte wrażenie. Co innego przed świtem, kiedy przysypiają nawet pracownicy stacji benzynowych, a brudne światło zaczyna wydobywać z mroku byty i przedmioty, których istnienia nie podejrzewaliśmy

Dochodziła czwarta nad ranem, słońce miało wstać za godzinę, a Roman Myszyński walczył ze snem w czytelni Archiwum Państwowego w Sandomierzu, otoczony przez zmarłych. Wokół niego piętrzyły się dziewiętnastowieczne księgi parafialne i mimo że większość wpisów dotyczyła radosnych momentów życia, mimo że chrztów i ślubów więcej było niż aktów zgonu – to i tak stale czuł towarzyszący mu odór śmierci, nie potrafił pozbyć się myśli, że wszystkie te noworodki i wszyscy ci nowożeńcy od co najmniej kilkadziesiąt lat gryzą ziemię, a z rzadka odkurzane i przeglądane księgi są jedynym świadectwem ich istnienia. Choć akurat oni i tak mieli szczęście, biorąc pod uwagę to, jak z polskimi archiwami obeszała się wojna.

Było cholernie zimno, w termosie skończyła się kawa, a jedyną myślą, jaką potrafił skonstruować Myszyński, było besztanie się za idiotyczny pomysł, żeby założyć firmę zajmującą się poszukiwaniami genealogicznymi, zamiast wziąć asystenturę. Na uczelni dochód niewielki, ale stały, ubezpieczenie opłacone – same plusy. Zwłaszcza w porównaniu z posadami w szkołach, na które trafili jego koledzy z roku,

tak samo źle płatnymi, ale wzbogaconymi o wieczną frustrację i groźby karalne ze strony uczniów.

Spojrzał na rozłożoną przed sobą księgę i na zdanie ładnie wykaligrafowane przez księdza z parafii w Dwikozach w kwietniu 1834 roku: „Stawający i świadkowie czytać nie umieją”. To by właściwie było na tyle, jeśli chodzi o szlacheckie pochodzenie Włodzimierza Niewolina. A gdyby ktoś jeszcze miał wątpliwości, że być może przynoszący do chrztu rodzic prapradziadka Niewolina miał po pępkowym gorszy dzień, to rozwiewał je jego zawód – włościanin. Myszyński był pewien, że jak już doszpera się do aktu ślubu, okaże się, że wzmiankowana w akcie urodzenia Marjanna Niewolinowa – piętnaście lat młodsza od małżonka – była dziewczką służebną. A może jeszcze mieszkała przy rodzicach.

Wstał i przeciągnął się energicznie, potrącając palcami wiszące na ścianie stare, przedwojenne zdjęcie sandomierskiego rynku. Poprawił je, myśląc, że plac z pocztówki wygląda jakoś inaczej niż dziś. Skromniej. Wyjrzał przez okno, ale widoczna w perspektywie ulicy pierzeja rynku zasłonięta była ciemną mgłą przedświt. Co za bzdura, dlaczego stary rynek miałby wyglądać inaczej, po co w ogóle o tym myśli, musi wziąć się do roboty, jeśli chce zrekonstruować przeszłość Niewolina i zdążyć na trzynastą do Warszawy.

Co go jeszcze może spotkać? Nie powinien mieć trudności z aktem ślubu, także akty urodzenia Jakuba i Marjanny muszą gdzieś być, szczęśliwie Kongresówka była dla badaczy archiwów dość łaskawa. Od początku XIX wieku w Księstwie Warszawskim dzięki kodeksowi napoleońskiemu wszystkie akta metrykalne musiały być sporządzane przez parafie w dwóch egzemplarzach i przekazywane do archiwum państwowego – później zasady uległy zmianie, ale i tak było nieźle. W Galicji – gorzej, a już Kresy to prawdziwa genealogiczna czarna dziura, w Archiwum Zabuzzańskim

w Warszawie leżały jedynie jakieś szczątki akt. Czyli z Marjaną, urodzoną około 1814 roku, nie powinno być problemu. Jeśli chodzi o Jakuba – końcówka XVIII wieku to ciągle nieźle, księża byli lepiej wykształceni i poza wyjątkowo leniwymi parafiami księgi są raczej kompletne. W Sandomierzu pomagał fakt, że w czasie ostatniej wojny nie puścili go z dymem ani Niemcy, ani Sowieci. Najstarsze akta pochodziły z lat osiemdziesiątych XVI wieku. Wcześniej i tak ślad się urywał, dopiero na soborze trydenckim w XVI wieku Kościół wpadł na pomysł, żeby swoje owieczki spisywać.

Potarł oczy i nachylił się nad rozłożonymi aktami. Czyli potrzebne są mu akta ślubu z Dwikoz z ostatnich dwóch lat i może od razu poszuka matki. Z domu Kwietniewska. Hmm. W głowie badacza zadzwonił alarmowy dzwoneczek.

Mijały dwa lata od chwili, kiedy wbrew radom wszystkich założył firmę Złoty Korzeń. Na który to pomysł wpadł, gdy w czasie zbierania materiałów do doktoratu w Archiwum Głównym Akt Dawnych zaczął spotykać ludzi z szaleństwem w oczach, nieporadnie szukających informacji o przodkach i próbujących wyrysować swoje drzewo genealogiczne. Jednemu chłopakowi pomógł z litości, jednej dziewczynie ze względu na obezwładniająco piękny biust i w końcu Magdzie, bo była rozkoszna ze swoją wielką planszą genealogiczną, przypominającą Drzewo Jessego. Skończyło się tak, że Magda i jej plansza mieszkały u niego przez pół roku. O pięć miesięcy za długo, wyprowadzała się ze łzami w oczach i wiedzą, że praprababka Cecylia była bękartem, bo w 1813 roku do chrztu podawała ją akuszerka.

Wtedy postanowił, że można wykorzystać ten genealogiczny szal i sprzedawać swoją umiejętność korzystania z archiwów. Rejestrując działalność, był bardzo podniecony wizją zostania detektywem historii i nie przyszło mu do głowy, że nazwa Złoty Korzeń sprawi, że każdy – dosłownie każdy – klient najpierw zapyta, czy ma coś wspólnego ze słynnym pływakiem, a potem wysili się na niewybredny żart.

Niczym w powieściach *noir*, na początku głównie czekał na telefon i gapił się w sufit, ale w końcu klienci się pojawili. Od przypadku do przypadku i od polecenia do polecenia było ich coraz więcej, w większości niestety nie długonogie brunetki w pończochach. Przychodziły przede wszystkim dwa typy. Typ pierwszy to zakompleksieni okularnicy w pulowerkach, o wyrazie twarzy „no ale co ja ci zrobiłem?”, którym w życiu nie wyszło tak bardzo, że mieli nadzieję znaleźć jego sens i wartość w dawno rozłożonych przodkach. Z pokorą i ulgą, jakby spodziewali się tego ciosu, przyjmowali informację, że są potomkami nikogo znikąd.

Typ drugi – typ Niewolina – od początku dawał do zrozumienia, że nie płaci za informację, iż wywodzi się z rodu pijanych furmanów i przechodzonych dziwek, tylko za doszukiwanie się herbowej szlachty i miejsca, gdzie można zawieźć dzieci i pokazać, że tutaj stał dwór, w którym pradziadek Polikarp leczył rany odniesione w powstaniu. Jakimkolwiek powstaniu. Na początku Roman był do bólu szczery, potem uznał, że jest jednak prywatną firmą, a nie instytutem badawczym. Skoro szlachta oznaczała premie, napiwki i kolejnych klientów – niech będzie szlachta. Gdyby ktoś miał wyrobić sobie opinię na temat przeszłości Polski tylko po wynikach jego śledztw, łatwo doszedłby do wniosku, że wbrew pozorom nie jest to kraj prymitywnych chłopów, lecz dystyngowanych panów, w ostateczności dobrze prosperujących mieszczan. Mimo różnych nagięć Roman nigdy nie kłamał – po prostu zwykle dotąd szperał w bocznych odnogach, aż znalazł jakiegoś pana na zagrodzie.

Najgorzej było trafić na Żyda. Argumenty historyczne, że w międzywojennej Polsce dziesięć procent mieszkańców stanowili Żydzi, w związku z czym zwłaszcza na terenach Kongresówki i Galicji można odnaleźć przodka wyznania mojżeszowego, do nikogo nie trafiały. Dwa razy mu się to zdarzyło – za pierwszym razem został zbluzgany, a za drugim mało nie dostał po gębie. Najpierw nie mógł wyjść ze

zdziwienia, potem podumał kilka dni, a w końcu doszedł do wniosku, że klient nasz pan. Zwykle poruszał sprawę w czasie pierwszej rozmowy i jeśli się okazywało, że temat budzi nadmierne emocje – gotów był zamieść ewentualnego lcka pod dywan. Zdarzało się to jednak niezmiernie rzadko – Zagłada ścięła koronę izraelskiego drzewa genealogicznego.

A teraz proszę, pojawiła się w dziewiętnastowiecznych dokumentach Marjanna Niewolin, de domo Kwietniewska. To nie musiało być regułą, ale nazwiska wzięte od nazw miesięcy często były nazwiskami przechrztów, przyjmowanymi od miesiąca, w którym odbył się chrzest. Podobnie nazwiska zawierające w sobie dni tygodnia, albo zaczynające się od „Nowa”. Także nazwisko Dobrowolski mogło wskazywać na to, że jakiś przodek dobrowolnie przeszedł z wyznania mojżeszowego na chrystusowe. Roman lubił wierzyć, że za takimi historiami stała miłość. Że ludzie, mając do wyboru religię albo uczucie, wybierali to drugie. A jako że katolicyzm był w Najjaśniejszej religii panującą, zwykle w tę stronę odbywały się konwersje.

Właściwie Roman mógł porzucić ten trop, i tak był zaskoczony, że udokumentowane korzenie Niewolina sięgają tak daleko. Ale po pierwsze, był ciekaw, a po drugie, zdenerwował go ten buc wymachujący sygnetem z miejscem na herb.

Roman uruchomił w laptopie jedno ze swoich podstawowych narzędzi – zeskanowany *Słownik geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich*, monumentalne dzieło z końca XIX wieku, gdzie opisano właściwie każdą wioskę znajdującą się w granicach przedrozbiorowej Rzeczypospolitej. Odszukał hasło Dwikozy, aby dowiedzieć się, że była to wieś i folwark poduchowny, licząca 77 domów i 548 mieszkańców. Ani słowa o gminie żydowskiej, co naturalne, biorąc pod uwagę, że zwykle obowiązywał zakaz osiedlania się Żydów w dobrach kościelnych. Czyli jeśli Marjanna pochodziła z okolicznej rodziny przechrztów,

trzeba szukać w Sandomierzu albo Zawichoście. Przejrzał skany i dowiedział się, że w Sandomierzu było 5 domów zajezdnych żydowskich, synagoga, 3250 katolików, 50 prawosławnych, 1 protestant i 2715 Żydów. Za to w Zawichoście na 3948 dusz do religii mojżeszowej przyznawało się 2401 osób. Sporo. Spojrzał na mapę. Intuicja mówiła mu, że Zawichost to lepszy strzał.

Przeagonił myśl, że marnuje czas, wstał, zrobił kilka przysiadów, skrzywił się, słysząc trzaski w kolanach, i wyszedł z czytelnii. Pstryknął przełącznikiem w ciemnym korytarzu, ale nic się nie stało. Pstryknął jeszcze dwa razy. Ciągłe nic. Rozejrzał się niepewnie. Choć był weteranem spędzania nocy w archiwach – poczuł niepokój. Genius loci, pomyślał i westchnął litościwie nad swoją skłonnością do fantazjowania.

Zniecierpliwiony jeszcze raz wcisnął przełącznik i po kilku błyskach klatkę schodową zaalało trupie światło jarzeniówek. Roman spojrzął w dół na gotycki portal, prowadzący z części administracyjnej do archiwum. Wyglądał jakoś tak, jak by to powiedzieć, groźnie.

Odczrząknął, żeby zabić ciszę, i ruszył w dół, myśląc, że ciekawego smaczku dodaje sprawie Niewolina i jego prapra de domo przechrzcie Kwietniewskiej fakt, że sandomierskie archiwum mieści się w budynku osiemnastowiecznej synagogi. Czytelnia i pokoje pracowników znajdowały się w dolepionym do świątyni budynku kahału, siedzibie gminnej administracji. Same akta zajmowały główne pomieszczenie modlitewne synagogi. Było to jedno z najciekawszych miejsc, jakie widział w swojej karierze pradetektywa.

Zszedł na dół i pchnął ciężkie, nabijane ćwiekami żelazne drzwi. Uderzył go orzechowy zapach starego papieru.

Stara sala modlitewna miała kształt dużego sześcianu, który w interesujący sposób zaadaptowany został na potrzeby archiwum. Pośrodku pomieszczenia zbudowano ażurową kostkę, złożoną ze stalowych chodniczków, schodków

i – przede wszystkim – półek. Kostka była nieznacznie mniejsza od sali, można było ją okrążyć wzdłuż ścian, można było wejść do środka, w labirynt wąziutkich korytarzy, lub wspiąć się na wyższe poziomy i tam zagłębić w stare akta. Konstrukcja czyniła z tego rusztu jakby przerośniętą bime, w której zamiast Tory studiowało się dokumenty informujące o urodzinach, ślubach, podatkach i wyrokach. Biurokracja jako święta księga ery nowożytnej, pomyślał Roman. Nie zapalając światła, okrążał ruszt; wodził dłonią po chłodnym tynku. Doszedł tak do wschodniej ściany, gdzie jeszcze kilkadziesiąt lat temu we wnęce zwanej aron ha-kodesz przechowywano zwoje Tory. Roman zapalił latarkę, światło przecisnęło się przez gęsto unoszące się w powietrzu drobinki kurzu i wydobyło z ciemności złotego gryfa, trzymającego tablicę z hebrajskim pismem. Podejrzewał, że to jedna z Tablic Przymierza. Skierował światło wyżej, jednak polichromie znajdujące się bliżej sklepienia tonęły w mroku.

Wszedł na najwyższy poziom po stromych ażurowych schodkach, przy akompaniamencie metalicznego echa. Znalazł się tuż pod sklepieniem. Chodząc między pełnymi akt półkami, zaczął oglądać w świetle latarki zdobiące górną część sali przedstawienia znaków zodiaku. Przy krokodylu zmarszczył brwi. Krokodyl? Spojrzał na sąsiedni – strzelec – i zrozumiał, że krokodyl to skorpion. Być może miało to uzasadnienie. Pamiętał jedynie, że w judaizmie nie wolno było przedstawiać ludzi. Podeszedł do bliźniąt. Wbrew tej wiedzy, przedstawione były jako ludzkie postaci, tylko pozbawione głów. Wzdrygnął się.

Pomyślał, że starczy już tej wycieczki, na dodatek dostrzegł owiniętego wokół okulusa lewiatana. Duch śmierci i zniszczenia otaczał płamę szarego światła, jakby to było wejście do jego podwodnego królestwa, i Romanowi zrobiło się nieswojo. Poczł nagłą potrzebę opuszczenia archiwum, ale wtedy kątem oka dostrzegł za okrągłym oknem ruch.

Wsunął głowę do wnętrza potwora, lecz nie mógł za wiele dostrzec przez brudne szyby.

Po drugiej stronie sali skrzypnęła deska, Roman się podebrał, boleśnie uderzając głową o mur. Zaklął i wypełził z okulusa. Znowu skrzypnięcie.

- Halo? Jest tam kto?

Świecił latarką we wszystkie strony, ale widział tylko akta, kurz i znaki zodiaku.

Tym razem skrzypnęło tuż obok niego. Roman krzyknął cicho. Chwilę mu zajęło uspokojenie oddechu. Doskonale, pomyślał, powinienem sobie zafundować jeszcze mniej snu i jeszcze więcej kawy.

Energicznym krokiem skierował się stalowym chodnikiem w stronę stromych schodów, od ciemnej dziury zięjącej pomiędzy nim a ścianą oddzielała go wąta barierka. Ponieważ najwyższy poziom rusztu był zarazem poziomem doświetlających salę okien, mijał przedziwne konstrukcje, służące do ich otwierania i mycia. Były to jakby zwodzone pomosty, obecnie podniesione do pionu. Aby dostać się do okna, należało odblokować grubą linę i opuścić pomost w ten sposób, aby sięgnął do wnęki okiennej. Roman pomyślał, że jest to mechanizm dość kuriozalny, w końcu ani ruszt z aktami, ani tym bardziej grube mury synagogi nigdzie się nie wybierały, można je było połączyć na stałe. Teraz przypominało mu to okręt z podniesionymi trapami, gotowy do wypłynięcia. Omiótł instalację światłem latarki i podszedł do schodków. Zestawił jedną stopę, kiedy potężny huk wypełnił pomieszczenie, przez stopnie przeszedł wstrząs, a on stracił równowagę i nie spadł na dół tylko dlatego, że obiema rękami złapał się barierki. Latarka wypadła mu z ręki, odbiła się dwa razy od podłogi i zgasła.

Wyprostował się, serce biło mu w zawrotnym tempie. Szybko, w lekkiej histerii, zlustrował otoczenie. To spadł mostek, obok którego przechodził. Patrzył na niego, ciężko dysząc. W końcu się roześmiał. Musiał coś niechący naruszyć.

Fizyka tak, metafizyka nie. Proste. W każdym razie ostatni raz pracuje po zmroku wśród tych wszystkich pratrupów.

Trochę po omacku podszedł do zwodzonego mostka i chwycił linę, żeby podnieść go do pionu. Oczywiście był zaklinowany. Klnąc na czym świat stoi, na kolanach wszedł do okiennej wnęki. Okno wychodziło na te same krzaki, co strzeżony przez lewiatana okulus.

Świat na zewnątrz stanowił teraz jedyne źródło światła, a było to światło nad wyraz liche. Wewnątrz nie dało się zobaczyć praktycznie nic, na zewnątrz przedświt zamieniał się w wiosenny, nieśmiały jeszcze świt, z mroku wylaniały się drzewa, dno otaczającego sandomierską starówkę parowu, wille pobudowane na przeciwległej stronie skarpy i mur dawnego klasztoru franciszkanów. Czarna mgła zamieniała się we mgłę szarą, świat był nieostry i mętny, jakby odbity w wodzie z mydlinami.

Roman spojrzął w miejsce, gdzie wcześniej widział ruch – w krzaki tuż pod pozostałościami obronnego muru. Wytężył wzrok – od morza szarości odcinało się tam coś sterylnej bielą. Przetarł rękawem szybę, ale istnienie wyrafinowanego mechanizmu zwodzonego mostu najwyraźniej nie skłoniło nikogo do jej częstego mycia, tylko rozmazał kurz na szkle.

Otworzył okno, zamrugął, twarz omiotło mu zimne powietrze.

Jak porcelanowa laleczka pływająca we mgle, pomyślał Myszyński, patrząc na leżące pod synagogą zwłoki. Były nienaturalnie, niepokojąco białe, świeciły brakiem koloru.

Z tyłu z hukiem trzasnęły ciężkie drzwi do starej synagogi, jakby wszystkie duchy wyleciały zobaczyć, co się stało.